

Felieton

Wojciech Garstka

Motto: Zdarza się (it happens)

Kurt Vonnegut Junior

Czwarta władza wciąż nabiera znaczenia. Prasa! Cóż za komfortowy sposób pełnienia tej władzy! Ciebie i twoje źródła chroni prawo. Wyrażasz opinię publiczną, jako jej eksponent – bo rzadko kto umie sprawdzić, jaka ta opinia jest naprawdę. Nie odpowiadasz za nic. Gdy się pomylisz lub skłamiesz, ścigają cię latami, z prywatnego powództwa. A gdy już cię dopadną i ukarzą – to nikt nie pamięta sprawy, za którą wzięłeś sutą wierszówkę i premię. Jesteś na świeczniku, zadajesz pytania „w imieniu” i twój rozmówca musi na nie pokornie odpowiadać, bo jak nie, to go załatwisz. Umawiasz się na rozmowę na jeden temat, ale przecież aktualność napiera, więc pytasz o coś zupełnie innego – i biada, żeby rozmówca się zirytował! Ma przechlapane! Liczy się aktualność – liczy się DZIŚ! Jutro? – nie ważne jest jutro! Jutro będą inne tematy, inna redakcja, inne zalecenia. Jesteś wolny! Wolny, aż do momentu, gdy twój tekst zobaczą w tym pokoju, gdzie zainstalowano telefon od właściciela. Tam ci za chwilę powiedzą, czy dobrze widziałeś, czy dobrze słyszałeś, czy ci się przypadkiem coś nie pomyliło, bo przecież dzisiaj X jest zły, a Y dobry – nie tak jak wczoraj. Zawsze możesz się oburzyć – zwłaszcza, gdy masz już NAZWISKO. Wtedy możesz iść gdzie indziej, za trzy razy więcej. Ta spirala awansu wydaje się nieskończona, wiedzie do nieba, do raju podniecającego sukcesu...

No, może stop na chwilę. Jest pewien cień na tej słonecznej wizji – ponury cień faceta w czarnym płaszczu i kapeluszu – nie jest to bynajmniej globtroter Rokita, lecz funkcjonariusz, operator służb tajnych i dwupłciowych. Jechałeś samochodem po pijaku. Skłamałeś na wizji lub fonii, bo chciałeś mieć większy rezonans – oczywiście w dobrej sprawie, na przykład po to, aby uwalić jakiegoś przemyślnego oficjalnego idiotę. Czujesz się demiurgiem sprawiedliwości i słusznej sprawy..., ale jakoś teraz mina ci rzednie, bo on ma na ciebie haka. On, który siedzi naprzeciwko ciebie, wie o tobie wszystko, a nawet trochę więcej. On ma dla ciebie ponurą wizję upadku – albo wzniosłą wizję wiecznej prosperity. Referuje ci je dość obrazowo. Ty musisz tylko wybrać. Wybór jest nieskomplikowany – podpisać albo nie. Kartka i pióro leżą na kawiarnianym stoliku. Facet w czerni spokojnie czeka i pali papierosa. Chcesz jeszcze jakiś argument za? Za chwilę on ci go wycedzi, bez szczególnej złośliwości, prawie z sympatią i współczuciem – on wie, że to niekomfort tak tu siedzieć i przeżywać ten stres. Przecież ty jesteś czwartą władzą, a on? Jest nikim! Jednak to on tu prowadzi grę. A ty – tylko reagujesz na te szachowe ruchy. Orientujesz się, że on ma wszystko doskonale przygotowane i opanowane. Wiesz, że robił to dziesiątki, może setki razy. Ale jednak myślisz sobie tak „Jestem diabelnie inteligentny! Przechytrzę go! Będę go wodził za nos i wpuszczał w maliny! I w dodatku będę bezpieczny – bo przecież uciekam jak najbliżej! Bardziej i bliżej już nie można! No i ta wspaniała wiara w to, że nikt się o tym nie dowie. Tylko on wie..., no może jeszcze kilku, ale poza tym nikt, nigdy i po wsze czasy...”

A więc podpisujesz. No i zaczyna się wspaniały mariaż czwartej władzy z władzą całkowicie nienumerowaną. Dostajesz ciekawe informacje. Twoje materiały są cenione i akceptowane. Uzgadniasz z partnerem i prawie „przyjacielem” kilka „szczurów” informacyjnych. One poruszają do dna pewne ważne kwestie i pewne ważne środowiska. Stajesz się kimś. Jesteś przecież partnerem! Ciągłe jeszcze jednak jesteś czwartą władzą. No nie?

Ten nieco literacki obraz nie jest zmyślony. Tajne służby stale miały ważne interesy w

środowisku dziennikarzy. Dziennikarze wiele wiedzieli, mieli bardzo ciekawe kontakty i informacje, mieli w ręku ponadto narzędzie ich nagłaśniania. Tych najważniejszych pilnowano w dawnych czasach w Wydziale Prasy KC, poprzez inne szczeble i agendy PZPR, ale niektórych zazdrośnie strzegła SB. Nie każdy mógł pisać i mówić co chciał, ale ten, co „uzgodnił” – mógł prawie wszystko. Prawie – to wielka różnica, ale w realnym socjalizmie – wielka wygrana. Tak rodziły się niektóre kariery i niektóre posagowe postacie prasy i okolic. Mniejsza o nazwiska, i tak nikt nie uwierzy. Opowiadajmy dalej.

A cóż się stało nagle w momencie katastrofy? Gdy załamały się stare zasady i reguły? Piękny obraz takiego dziennikarza w czasach zarazy pokazuje film byłego wielkiego artysty – Andrzeja Wajdy – „Człowiek z żelaza”. Gra go Opania. Jego postać jest rozdarta i miotana straszliwymi emocjami. On jest w gruncie rzeczy rzetelny, światły, dobry i pozytywny – ale z drugiej strony – trzeba pisać i mówić to, co każą. Wreszcie tama psychiczna pęka – zwłaszcza, że ci dziwni ludzie w roboczych drelichach, których mieliśmy przecież wszyscy przykazane oficjalnie kochać, jako suwerenów naszego ustroju, robią rokosz, strajkują i w dodatku chyba wygrywają. Oho, trzeba się załapać! Prawdziwy dziennikarz wie, skąd wieje wiatr! Komitet jest zagubiony, przestraszony i coraz słabszy, a ten ich sekretarz – wielki mi sekretarz! – sra w portki, ale wnuka przecież rok temu posyłał do komunii dwie parafie dalej. W tym samym czasie wywalił też na zbity łeb z partii i stanowiska innego faceta, który wziął ślub kościelny jedną parafię dalej – czyli za blisko. Śmieszne...

Więc co teraz? Więc robimy zatem dziennikarską solidarność! Hurra! Żądamy wolności słowa, likwidacji wszelkiej cenzury, wolnej prasy, dostępu do przekaziorów, Wolności! Prawa głosu! Demokracji! To my! Czwarta władza! Niech no nam tylko ktoś podskoczy!

Tak rodziło się nowe. Trochę starawe, ale zawsze odkurzone. A gdy wracałeś z wiecu, czy zebrania, śmierzdząc dymem papierochów i z tym wspaniałym poczuciem uczestnictwa w historii, to zobaczyłeś pewnego dnia, że przed domem, w bramie stoi sympatyczny pan w ciemnym płaszczu i kapeluszu (bynajmniej nie Rokita). Podszedł z uśmiechem, przywitał się kulturalnie, powiedział parę kojących słów, poinformował, że w gruncie rzeczy nic się przecież nie zmienia, że jesteśmy nadal dobrymi partnerami, bo przecież wciąż trzeba coś wiedzieć i coś robić dla tych, którzy rządzą – a więc myślą i decydują słusznie w naszym imieniu! Bo przecież my jesteśmy związani silną nicią porozumienia, wspólnoty no i także tajemnicy – nieprawdaż? Zwłaszcza tajemnicy. A tej tajemnicy nie warto odsłaniać, bo będzie lustracja, taka paskudna, nieprzyjemna rzecz dla wszystkich, którzy się nie schronią pod egidę, którzy będą niegrzeczni – nieprawdaż? Już się to szykuje. „A pan” – pytasz nieśmiało. „Cóż ja – beze mnie się nie obejdą, a ja też dałem ochrzcić dziecko trzy parafie dalej, ha, ha, ha... Księżulo mnie zarekomendował, ha, ha, ha...”

I już wiesz, że jesteś może niezbyt w porządku – ale jesteś przecież bezpieczny. Jesteś „swój”, uwzględniony i zauważony - doceniony. Możesz nadal prowadzić swoją wielką grę z ponurymi siłami czerni, bo jesteś przecież inteligentniejszy, wiesz więcej o świecie, a poza tym idzie nowe – a tam czwarta władza zdobędzie władzę prawdziwą. Jesteś pewien. Przyjdzie dzień zapłaty. Wystarczy poczekać.

No i rzeczywiście, za chwilę pojawia się nowy właściciel i nowa gazeta w miejsce partyjnej wojewódzkiej „szmaty”. Masz zasługi – więc stajesz się tam idolem, może szefem. Smagasz bezlitosnym biczem krytyki „stare”, postkomunę, kacyków, prominentów, nomenklaturę, całe to zło i brud „komuny”, która zostawiła po sobie ruinę i nędzę! Właśnie tę nędzną fabryczną ruinę wyprzedają jakimś zagranicznikom za bezcen – ale słusznie! Trzeba przecież przywrócić ekonomiczną racjonalność. Dziwisz się, że dawni koledzy ze styropianu, którzy nadal pozostają

w tej nieszczęsnej fabryce jakoś przestają cię lubić. Nic to! Przejrzą jeszcze na oczy! Przecież dostali odprawy! A najbardziej przenikliwi, ten kwiat proletariatu, załapali się do instancji słusznego związku i objęli władzę w spółkach, które się z tej fabryki w porę odszczepiły. I tak trzeba! To jest dynamika, zerwanie z homo sovieticus – z tym gnuśnym typem, obezwładnionym głupią opieką zakłamanego zsowietyzowanego państwa. Niech się święci i rozkwita klasa średnia, znakomita!

Więc rzucasz się na nowe głębokie wody analiz i komentarzy – teraz jesteś wieszczem liberalizmu: niechaj działa niewidzialna ręka rynku! Niech każdy ma to, na co uda mu się zasłużyć! Niech słaby i nieudolny żebrze o jałmużnę, bo jest tylko zawadą. Jałmużnę da mu przecież miłosierny Caritas, proboszcz albo i wielkoduszny człowiek nowego sukcesu. I tak ma być.

Pewnego dnia pan w ciemnym płaszczu przychodzi kolejny raz, ale jakby nie ten sam. Płaszcz ma elegantszy, nie ma w oczach tego cienia politowania i współczucia dla ciebie, co poprzednik. Pytasz: „a gdzie jest pan Tomasz”? – „Nie ma pana Tomasza, bo on był z bezpieki, która systematycznie mordowała księży. Zapomnijmy o nim. Teraz rozmawiamy my, w nowy sposób o nowych sprawach. Ma pan tu parę informacji i pan je rozpropaguje w odpowiednio jaskrawy sposób. Pan to umie – wiemy o tym. Ten X jest zły, a ten Y – jest dobry. Niech pan o tym pamięta. Ten X jest zły, bo on - proszę pana – ma niedobrą przeszłość i nie wykazuje zdolności do zrozumienia zmian. Nadchodzi nowa Rzeczpospolita, numerek już się instaluje. To wszystko. Liczymy na pana. Stawka taka sama, jak poprzednio. Aha, ten poprzednik wie trochę za dużo i trzeba go – wie pan – trochę osłabić. „Nie może być tak, że jakiś SB-ek będzie decydował o istocie spraw”. „Ale co się da zrobić?” – pytasz z drżeniem w głosie.

„Dezubeklizacja!” – rzuca twardo facet w czerni – „Dokomunizacja, dezubeklizacja i całkowita deratyzacja tych zbrodniarzy, morderców księży, katów narodu, sprzedajnych sowieckich zauszników, płatnych zdrajców, pachotków Rosji”!

Z każdym jego słowem wzbiera w tobie słuszny gniew i żądza słusznej pomsty na tych niesłusznych typach – jakże obcych ci ideowo i moralnie! Myślisz – „Odebrać im te wypasione emerytury! Zabrać odznaczenia i prawa publiczne i honorowe! Zakazać pełnienia i reprezentowania! Zakazać nawet wstępu do publicznego szaletu! To jest słuszne i dobre – bo przecież oni mnie maltretowali. Oni doprowadzili mnie do upadku – no, no – spokojnie, może jeszcze nie jest tak źle..., ale ICH trzeba wykończyć bez litości! Dla naszego wspólnego dobra!” Cóż tu mówić o dalszej historii? Jest ona wieloosobowa i wieloraka. Jeden taki, na przykład ma tygodnik, gdzie połowa staffu ma odpowiednie legitymacje, albo przynajmniej odpowiednie pseudonimy. Kilkoro dostało nagrody i forszę za nieprawdopodobną wręcz dociekliwość i talenty śledcze. Och – jacy oni są dociekliwi! Wiedzą więcej i wcześniej niż sam Wszzechwiedzący. Jedna taka pławi się w tym miłym poczuciu strachu, jaki wzbudza w nieszczęsnych politykach, których bez litości przesłuchuje. Paru korzysta ze swego młodego wieku i liczą na to, że przynajmniej nikt ich nie zlustrowe, bo urodzili się już po czasie... Chcecie jakichś nazwisk? Chyba jesteście nienormalni! Przecież mamy demokrację! Czwarta władza nikomu nie daruje! Ja się boję jak cholera i chowam pod stołem, nakrywając łeb poduszką...

Cała spora reszta miota się w codziennym amoku pomiędzy dyspozycjami naczelnego uwieszona na zagranicznym garnuszku, który chce mieć wyniki – nakład, czytelność, słuchalność czy tam oglądalność - a resztkami sumienia, które podpowiada im, że są jakieś zasady, jakaś społeczna potrzeba, jakaś etyka i jakaś idea służby publicznej.

Już niedługo wszystko się wyrówna – „przyjdzie walec i wyrówna” – no nie? Zanikną ostatnie skrupuły. Wizytanci w czerni albo inni Wizytanci z torbami szmalu staną spokojnie przy wejściu

do redakcji i z flegmatycznym uśmiechem zaproponują na wejściu – „Zostajesz i bierzesz, czy idziesz do rynsztoka? Jesteś wolny, wybór jest twój!” I oni wszyscy jakoś wybiorą. I ci, co dzisiaj studiują, i ci przed emeryturą, i ci, co mają żony i dzieci, i ci, co mają kredyty hipoteczne, i ci co wierzyli w ideały sierpnia, czy tam jakiegoś innego miesiąca, bo tych miesięcy jest ze dwanaście, i cała spora reszta.

No i co z tego? Nic. Zdarza się. It happens. To takie motto z jednego znanego pisarza science fiction. Bardzo mądrego gościa.

Wojciech Garstka, dziennikarz, publicysta, b. rzecznik prasowy MSW